

Polonistki



ALFRED SIATECKI

Polonistki

ALFRED SIATECKI

 SAGA
EGMONT

Alfred Siatecki

Polonistki

Saga Egmont

Polonistki

Zdjęcia na okładce: Shutterstock, Mdjourney
Copyright © 2015, 2026 Alfred Siatecki i Saga Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788727325101

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Żadna część niniejszej publikacji nie może być powielana, przechowywana w systemie wyszukiwania danych lub przekazywana w jakiejkolwiek formie lub w jakikolwiek sposób bez uprzedniej pisemnej zgody wydawcy, ani rozpowszechniana w jakiejkolwiek formie oprawy lub z okładką inną niż ta, z którą została opublikowana i bez nałożenia podobnego warunku na kolejnego nabywcę. Zabrania się eksploracji tekstu i danych (TDM) niniejszej publikacji, w tym eksploracji w celu szkolenia technologii AI, bez uprzedniej pisemnej zgody wydawcy.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 55 milionów złotych.

Vognmagergade 11, 2, 1120 København K, Dania

Nigdy się nas nie pyta, czego my naprawdę chcemy.

Nam się daje. I nam się odbiera.

Ot co, to cały sekret tego pieprzonego życia.

Maria Nurowska, Rosyjski kochanek

UCZESTNICY ZJAZDU

Beata — magister filologii polskiej. Nadal jest dyrektorką dużej szkoły, chociaż już może być na emeryturze nauczycielskiej. Do zajmowanego przez nią fotela przymierza się pyskata zastępczyni. Beata zapisała się do rządzącej partii, ponieważ marzy, aby zostać senatorką lub radną. Twierdzi, że jest katoliczką. Nieźle gotuje i znakomicie piecze. Mieszka w Legnicy. Żona Eugeniusza.

Inez — magister filologii polskiej. Przeklinająca nauczycielka na wcześniejszej emeryturze. Ma się za schorowaną. Koleżanki ze studiów podejrzewają ją o skłonności homoseksualne. Wokół niej kręci się owdowiały lekarz, którego ona uważa za zbyt starego. Religia nie ma znaczenia w jej życiu. Nie dba o swój wygląd. Mieszka w Gorzowie.

Jadwiga — magister filologii polskiej. Po rozwodzie z Polakiem wyszła za mąż za Niemca. Jest opiekunką w domu starców leśników. Wedle prawa niemieckiego dopiero za trzy lata przejdzie na emeryturę. Tak jak jej drugi mąż jest praktykującą ewangeliczką. Nie przykładą żadnej wagi do swego wyglądu. Mieszka w południowych Niemczech.

Magda — magister filologii polskiej. Jest kierowniczką sekcji w inspektoracie sanitarnym, gdzie dyrektorzy zmieniają się bardzo często, wtedy ona pełni ich obowiązki. Uważa się za katoliczkę, mimo to do kościoła chodzi dwa, trzy razy w roku. Od przyszłej wiosny może być

na emeryturze. Ładna i zawsze elegancka. Mieszka w Zielonejgórze. Żona Marka.

Natalia — magister filologii polskiej. W żadnym miejscu długo nie pracowała. Ostatnio była referentką do spraw socjalnych w urzędzie miejskim. Dostała wręcz głodową emeryturę. Dwukrotnie owdowiała i znowu jest gotowa wyjść za mąż. Zapewnia, że jest wierzącą katoliczką, która każdy dzień zaczyna modlitwą. Nie potrafi ubrać się modnie. Mieszka we Wrocławiu.

Pola — skończyła filologię polską, doktor habilitowana nauk humanistycznych. Kieruje oddziałem kontroli środowiska i wykłada w szkole wyższej zawodowej. Już powinna być na emeryturze, lecz broni się przed tym krokiem. W zależności od sytuacji określa siebie jako osobę wierzącą i praktykującą. Bardzo przejmuje się swoim wyglądem. Mieszka w Wałbrzychu. Żona Nikosa.

Eugeniusz — z wykształcenia technolog żywności. Zawsze był dyrektorem i gorliwym członkiem partii lewicowej. Od jesieni jest posłem ugrupowania opozycyjnego wobec koalicji rządzącej. Uważa, że każdej niedzieli powinien być na mszy i koniecznie musi siedzieć w pierwszej ławce, aby ksiądz go widział. Do niedawna polował. Mieszka w Legnicy i Warszawie. Mąż Beaty.

Marek — przeciętny pisarz i dziennikarz. Gdy skończył sześćdziesiąt lat, natychmiast przeszedł na emeryturę, a zrobił to wyłącznie dlatego, aby w spokoju napisać powieść, która ma mu przynieść sukces. Ochrzczony, jednak religię traktuje bardziej jako tradycję niż wyznanie wiary. Egocentryk, uważający się za niedocenionego. Mieszka w Zielonejgórze i Jodłowie. Mąż Magdy.

Nikos — jako dziecko przyjechał na Dolny Śląsk z greckiej Macedonii. Mimo że z wykształcenia jest inżynierem rolnikiem, zawsze był urzędnikiem. Z powodu niepolskiego pochodzenia został zwolniony z pracy w administracji regionalnej. Był ochrzczony w cerkwi prawosławnej, ale uważa się za katolika. Od roku jest emerytem. Mieszka w Wałbrzychu. Mąż Poli.

PIERWSZY DZIEŃ

MATKA MAGDY BĘDZIE MIAŁA STO LAT

Magda zastanawia się, gdzie urządzi przyjęcie z okazji setnych urodzin matki. To wypadnie dopiero w lipcu przyszłego roku, ale Magda z tego powodu już budzi się w nocy i rozmyśla. Musi wybrać takie miejsce, gdzie będzie nie za drogo i niedaleko od centrum miasta. Z bukietami przyjdą panie z Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Wschodnich. Na pewno prezydent złoży życzenia mamie osobiście albo za pośrednictwem swego zastępcy. Jak po ogień wpadną dziennikarze i zechcą wiedzieć, co jubilatka jadła w młodości, co na stare lata, czy często chorowała. Będą bracia Magdy z bratowymi, ich synowie z żonami i wnukami. Przy głównym stole musi starczyć miejsca dla stu osób. Jeszcze nie uzgodniła z braćmi, który wygłosi przemowę. Powie, że powinien to zrobić najstarszy, ale od operacji krtani on nie mówi, więc wskaże na najmłodszego. Ten zacznie się oblizywać, cmokać, przewracać oczami. Dwaj średni skulą się albo będą wodzili wzrokiem po podłodze. Dobrze, ja to zrobię, zdecyduje Magda. Jestem kobietą. I doda, że skoro urodziła się jako piąte dziecko, osiem lat po najmłodszym, to nie była planowana.

— Ale ojciec ciebie najbardziej lubił — przypomni jej średni brat. Zawsze to powtarza podczas rodzinnych spotkań.

— I będziesz tak samo długo żyła jak matka — dorzuci najmłodszy, a jego żona przytaknie. — W naszej rodzinie

kobiety są długowieczne. Taka prawidłowość.

Magda zaczęła przemowę od stwierdzenia, że mimo kolosalnego postępu w medycynie niewielu ludzi dożywa stu lat. Jako kierowniczka sekcji nadzoru epidemicznego w inspektoracie sanitarnym wie nieco więcej na ten temat niż jej koleżanki. Mama nigdy nie chorowała poważnie. Na grypę owszem. W szpitalu była tylko wtedy, kiedy odwiedzała ojca. Ją i czterech starszych braci urodziła w domu. A może to nie sprawa postępu w medycynie, lecz genetyki i klimatu? Mama, jak babcia i prababcia, urodziła się koło Łucka na Wołyniu, gdzie zimy są naprawdę zimowe, a powietrze balsamiczne i czyste. Tam przyszli na świat czterej bracia. To znaczy mama urodziła sześciu chłopców, dwaj zmarli w dzieciństwie. Ja jestem powojenna. Mama ma wszystkie cechy swojej mamy, tak twierdził najstarszy brat, kiedy mógł mówić. Wprawdzie babcia nie dożyła setki, ale niewiele zabrakło. Zanim odeszła z tego świata, uporządkowała wszystkie swoje sprawy. Na cmentarzu przykościelnym wybrała miejsce na grób, u stolarza zamówiła trumnę, a księdza prosiła, aby nie wygłaszał długiej mowy na pogrzebie. Bez względu na pogodę zimą i latem każdy dzień rozpoczynała od obchodu podwórka i nakarmienia kota tak samo starego jak ona. Gdy w piątek rano nie wyszła przed dom, stryjek zajrzał do jej pokoju. Dziewięćdziesięciodziewięcioletnia babcia przysunęła stół do okna i na nim stała, opowiadał podczas stypy. „Co mama robi?”, zapytał. „Poprawiam firankę, bo źle się układa. Jak przyjdą sąsiedzi, w pokoju powinno być ładnie, żebyś się nie wstydził. Ja, synku, dziś umrę. Pamiętaj, aby przed włożeniem do trumny umyć mi ręce pachnącym mydłem”. „Mama przeżyje nas wszystkich”, powiedział stryjek i pomógł babci zejść ze stołu. Poszedł do swego zajęcia, ale coś nie dawało mu spokoju, więc wrócił do pokoju babci. Ona leżała

na łóżku, w rękach złożonych na piersiach miała różaniec i książeczkę do nabożeństwa.

Nasza mama skończyła dziś sto lat, już przeżyła babcię. Identycznie jak babcia nigdy nie zawracała głowy swoim dzieciom własnymi sprawami. I ja taka chciałabym być.

Najmłodszy brat powtórzy:

— W naszej rodzinie kobiety są długowieczne. Taka prawidłowość. Ojciec nawet nie dożył sześćdziesiątki.

Bratowa dorzuci:

— Człowiek całe życie składa na emeryturę, a kiedy mógłby wygodnie żyć, nic z tego nie ma.

MAREK UWAŻA SIĘ ZA PRZECIĘTNEGO POLAKA

Czy mężczyzna po przekroczeniu sześćdziesiątki już powinien odkładać pieniądze na pogrzeb czy jeszcze za wcześnie na żegnanie się ze światem? Gdzieś tak od pierwszych dni maja Marek budzi się bladym świtem, ale nie wstaje z łóżka, tylko rozmyśla. Gdy próbował policzyć swoje sukcesy, doszedł do wniosku, że nie osiągnął nawet dziesiątej części tego, co sobie zaplanował zaraz po studiach. Chciał być tym wybitnym pisarzem, którego książki znajdują się w spisach lektur nadobowiązkowych, a jeszcze lepiej obowiązkowych wszystkich szkół średnich w Europie. Szekspira czy Goethego nie miał odwagi wypchnąć z programów szkolnych, zresztą podobnie jak Sienkiewicza, Mickiewicza czy nawet Gombrowicza. Ale jego książki mogłyby zastąpić bestsellery Márqueza, którymi zachwycił się w młodości, a jeszcze lepiej powieści Grassa lub dramaty Mrożka. Tuż po czterdziestce zrozumiał, że nie uda mu się z lekturami, więc postanowił zostać wziętym dziennikarzem w którymś z centralnych czasopism, lecz żadna redakcja nie odpowiedziała na jego podanie z dołączonymi

wycinkami i szkicami nowych artykułów. Został dziennikarzem od wszystkiego i niczego w niemałej gazecie regionalnej. Magda czasem mu dokuczała, że po śniadaniu pisze o pogodzie, w porze obiadu zna się na notowaniach walut i prognozach ekonomicznych, przy kolacji komentuje decyzje rządu, a zanim położy się do łóżka, zdąży zrecenzować przedstawienie w miejscowym teatrze.

Wie, że to banał, ale powtarza przy byle okazji: im człowiek jest starszy, tym szybciej biegą jego dni i ma coraz mniej czasu na zrobienie tego, co sobie zaplanował. Ktoś mu powiedział, że Zakład Ubezpieczeń Społecznych przyjął, iż statystyczny mężczyzna w Polsce umiera w wieku siedemdziesięciu dwóch lat. Marek uważa się za przeciętnego Polaka, więc zostało mu jeszcze dwanaście lat spierania się i kochania z Magdą, oczekiwania na prezenty urodzinowe i imieninowe, objadania się smakołykami ze stołu wigilijnego i wielkanocnego, a potem sięgania po nalewkę orzechową własnej roboty, narzekania na drożyznę, służbę zdrowia, młodzież, domokrażców, kierowców w ogóle, a kierowców miejskich autobusów szczególnie, pazernych księży i sklepikarzy, przykrych sąsiadów, szczekanie psów, powodzie, upały, austriackie gadanie polityków. Zanim zamknie oczy na zawsze, zdąży obejrzeć igrzyska olimpijskie w Soczi, Rio de Janeiro i jeszcze gdzieś. Przekona się, czy Polska znowu już w eliminacjach odpadnie z rywalizacji o piłkarskie mistrzostwo Europy. Co najmniej trzy razy będzie głosował na nowe składy sejmu, senatu i rady miejskiej. Żołnierze polscy wrócą z Afganistanu i pewnie znowu Amerykanie namówią rząd w Warszawie, aby posłał ich do któregoś państwa w Azji Południowej albo na Bliskim Wschodzie, bo światu grozi kolejna wojna z terrorystami. W 2013 roku kardynałowie wybrali następcę Benedykta XVI, który sześć lat wcześniej

przekroczył niemiecką granicę przeciętnej długości życia. Marek, obudziwszy się wczoraj bladym świtem, spytał sam siebie, a potem żonę, czy gdyby był bawarskim Niemcem, też miałby prawo do dłuższego o cztery lata pobierania emerytury.

— Zaraz po studiach wyjechałeś do Stuttgartu na tamtejszy uniwersytet — odpowiedziała Magda sennie.
— Mogłeś zostać w Niemczech.

Ojcu Marka zabrakło sześciu dni do osiemdziesiątych pierwszych urodzin. Dziadek na poczekaniu układał rymowanki, politykował, nawet ganił księży, a gdy skończył osiemdziesiąt siedem lat, chciał się żenić z wdową po sąsiedzku. Zdaniem Magdy Marek jest bardziej podobny do dziadka niż do ojca. Czy to oznacza, że będzie żył jeszcze niemal trzydzieści lat? Jeśli Magda ma rację, powinien zdążyć zrobić to, co sobie zaplanował zaraz po studiach, i zanim pożegna się ze światem, powie swoim synom i wnukom: Nigdy nie traćcie nadziei. Sukces przychodzi w najmniej spodziewanej chwili.

Marek przypomniał sobie, że Tomasz Mann napisał nieśmiertelnego *Doktora Faustusa*, mając siedemdziesiąt siedem lat. Już otworzył usta, aby o tym powiedzieć Magdzie, gdy uchyliły się drzwiczki tej klateczki w jego mózgu, za którymi tkwiła informacja, że rozgłos zyskał on za sześćsetstronicową powieść *Buddenbrookowie*, uhonorowaną Nagrodą Nobla, a tę opublikował w wieku dwudziestu sześciu lat. Sławny Niemiec zaczął ją pisać, mając dwadzieścia dwa lata. Dwadzieścia dwa lata! Skończywszy dwudziesty czwarty rok życia, Hłasko był autorem *Pierwszego kroku w chmurach*, *Ósmego dnia tygodnia* i *Następnego do raju*. Dwudziestosiedmioletni Gogol napisał *Rewizora*, a po sześciu latach *Martwe dusze*. Zaraz po swoich dwudziestych czwartych urodzinach Wojacek cieszył się wierszami zebranymi w *Sezonie* i *Innej*

Bajce. A dwudzieste szóste urodziny poety obchodzili nieliczni wrocławianie przy jego grobie na cmentarzu świętego Wawrzyńca.

— Nie ma reguły — dochodzi do wniosku Marek. — Ale wierzyć w sukces trzeba. Każda wiara jest tym, co trzyma człowieka na duchu.

Wiara. Religia również. Wiara jednak mocniej.

Często przypomina sobie Magdę, gdy po piątej albo może już dziesiątej randce wreszcie pozwoliła się przytulić i wtedy on chciał powiedzieć coś nadzwyczajnego, lecz nic takiego nie przychodziło mu do głowy. Wtedy Magda przejęła inicjatywę, mówiąc, że nie jest ważne, dokąd w życiu zajdzie, co osiągnie, ile będzie posiadał. Ważne, kogo będzie miał u swego boku. Od tamtego dnia Magda mu podpowiada i go gani. Marek jej słucha jak przedszkolak. Aż trudno w to uwierzyć.

W każdym samcu, nie wyłączając mężczyzny, jest coś takiego, co każe mu zostawić coś po sobie. Coś, co będzie zaświadczało, że nie tylko się urodził, ale i czegoś dokonał. Człowiek nie po to żyje, aby tylko żyć, ale dlatego, że jest potrzebny innym. Jeden tylko zbuduje dom, posadzi drzewo i spłodzi syna, a jeszcze lepiej wielu synów. Drugi będzie wyjątkowo solidnym urzędnikiem albo założy fabrykę elektronicznych zamków do drzwi najnowszej generacji i po wielu latach zarządzania przekaze ją synowi, aby on też ją rozwijał i przekazał swemu synowi pod warunkiem, że zachowa nazwę wymyśloną przez dziadka. Ernő Rubik wynalazł magiczną kostkę, Samuel Henshall — korkociąg, Felix Hoffmann — aspirynę, Lewis Waterman — pióro wieczne, Momofuku Ando — zupę błyskawiczną, Douglas Engelbart — mysz komputerową. Ryszard namalował ogromny pejzaż na ścianach domów przy placu Matejki, co zanotowali encyklopedyści aż w Nowym Jorku. Jeśli po latach farba się złuszczy, Ryszard pozostanie

w historii sztuki jako autor pierwszego na świecie obrazu municypalnego.

Wczoraj Marek był na pogrzebie Tadeusza, z którym zaczynał pracę w redakcji, on jako dziennikarz, a Tadeusz przy biurku sekretarza. Gdy dwa lata temu Tadeusz odszedł na emeryturę, niemal wszyscy uznali go za najlepszego sekretarza w dziejach redakcji. Rok później nieliczni dziennikarze pamiętali, czym Tadeusz się zajmował, a ostatnio nawet ci nieliczni przestali do niego telefonować, aby się poradzić. Biurko, przy którym od rana do nocy siedział Tadeusz, jego następca zamienił na konsolę recepcyjną, na miejscu krzesła postawił fotel obrotowy, zestaw telefonów zastąpił jednym aparatem z galerią przycisków. Kazał zdjąć ze ściany pejzaż olejny, który zdobił pokój za poprzednika Tadeusza i pewnie jeszcze wcześniej. W połówkach zszywkach też nie pozostał żaden ślad po Tadeuszu, chociaż na to, co było w gazecie i jak ona wyglądała, decydujący wpływ miał sekretarz redakcji.

— Był skrupulatnym sekretarzem — powiedział nad grobem ten, który zastąpił Tadeusza dwa lata temu. Ani słowa o tym, że będzie go brakowało młodszym dziennikarzom, że świat jest niesprawiedliwy, bo krótko cieszył się emeryturą. Marek zastanawiał się, czy nowy sekretarz przypomni, że jeśli nawet Tadeusza dopadła grypa, to kierował sekretariatem redakcji z łóżka. Tego też nie powiedział.

MAGDA JEST JESZCZE ATRAKCYJNA

Marek ukrywa przed żoną, dlaczego tak uparcie ją namawiał, aby dopiero pod koniec sierpnia, a nie w czerwcu, jak się zdarzyło zeszłego lata, czy aż w październiku, jak bywało dawniej, zwołała swoje koleżanki z polonistyki na coroczny zjazd. Magda

podejrzewa, że Marek ma pomysł na nową powieść, lecz jeszcze czegoś bardzo ważnego mu brakuje i jeśli nie znajdzie tego do połowy sierpnia, to będzie szukał podczas zjazdu. Każdy pisarz, który marzy, aby o jego twórczości rozmawiali nie tylko krytycy na sympozjach uniwersyteckich, lecz przede wszystkim czytelnicy w księgarniach i bibliotekach, wie, że pomysłów do książek dostarcza szare życie.

— Jak sobie życzysz, mój panie, na dni dobre, złe i te nieliczne ciche — mówi Magda głosem udającym uległość i z kokieterijnym błyskiem w oczach przysłoniętych szklami kontaktowymi. — Każda twoja prośba, misiaczku, jest dla mnie tym, czym rozkaz dla żołnierza. A w ogóle to praca wyłącznie dla siebie nie ma sensu. Wszystko, czego się podejmuję, robię z myślą o naszych dzieciach, wnukach i tobie. Jak, tego jestem pewna, ty pracujesz ku mojej radości i dla mnie. Gdyby było inaczej, nasze drogi dawno by się rozeszły.

Magda i Marek nawet jako kochankowie w łóżku nigdy nie rozmawiają o swojej wzajemnej miłości. Mimo upływu blisko czterdziestu lat od poznania się na ostatnim roku studiów twierdzą, że miłości nie można wyrazić za pomocą słów. Gdy stanie się to konieczne, będzie oznaczało, że miłości już nie ma lub niebawem nie będzie.

Miłość nagle przychodzi i gdy jej źródło nie wiadomo dlaczego wyschnie, nagle odchodzi. Rodzice Magdy i rodzice Marka kochali się po kres życia.

— Nam też to jest sądzone — twierdzi Magda.

Zawsze gdy Marek skończył pisać kolejną książkę, zamawiał dwa miejsca w luksusowym pensjonacie Pod Szczytem w Karpaczu, dopiero tam kładł przed żoną maszynopis albo, jak ostatnio, otwierał laptop i prosił, aby przeczytała to, co w tajemnicy przed nią napisał w pokoju, do którego ona nigdy nie zaglądała. Magda

na gorąco wygłaszała swoje uwagi dotyczące składni, czasem podpowiadała rozwiązania fabularne i ożywiała dialogi, najczęściej jednak pytała o pierwowzory bohaterów. Obawiała się, że Marek i ją sportretuje, a wtedy nawet znajomi z pracy, którzy poza weekendową gazetą niczego nie czytają, sięgną po książkę i dowiedzą się, jaka Magda jest naprawdę.

Od dnia następnego po ślubie Magda lubiła atakować Marka z byle powodu wyłącznie dlatego, żeby ostatnie zdanie należało do niej, do czego on się przyzwyczaił, ale od połowy maja zachowuje się tak, jakby nie dostrzegała jego wad, ponieważ sama nie jest bez grzechu. Wprawdzie usprawiedliwia swój krok głuptactwem sprowokowanym przez jeden kieliszek wódki wypity ponad normę, ale zdaje sobie sprawę z tego, że po naradzie pracowników inspektoratu w hoteliku Royal w Sławie była nieuczciwa wobec męża, któremu dwukrotnie przysięgała wierność, bo przed księdzem i urzędnikiem stanu cywilnego, co może potwierdzić Pola i Beata oraz Gienek i Nikos, a także Natka, Ina i Jadźka. Zaraz jednak pociesza się tym, że jeszcze jest bardzo atrakcyjna, skoro zastępca prezesa centrali mrugnął do niej, a nie do którejś spośród tych kilkunastu młodek z cyckami na luzie i błyskotkami w gołych pępkach. Zresztą nie będzie się odzywała, jeśli Marek też spróbuje, jak jest z poetką w łóżku, tylko czy wtedy sprawdzi się jako mężczyzna z krwi i kości? O, kiedyś to on był niczym żołnierz na przepustce, Magda przypomina sobie długie niedzielne poranki i zadowolona znowu uśmiecha się pod nosem.

— Chyba to ostatni taki zjazd — zastanawia się Marek, a Magda myśli, że tym razem mąż ma rację, bo przecież gdy i ona zostanie emerytką, nie będzie ich stać na urządzenie dorocznego spotkania absolwentek zielonogórskiej polonistyki.

— Zamiast hulać przez cztery dni, możemy rozmawiać przy herbatce i krakersach z supermarketu. — Jednak Magda próbuje mieć ostatnie zdanie. — Ja w każdym razie bez wyraźnego powodu nie potrafię zerwać kontaktów z najlepszymi koleżankami. Za dużo nas łączy.

Marek lekceważąco przecina ręką powietrze, co robi tylko wówczas, gdy jest przekonany, że ma rację, ale nie chce powiedzieć tego głośno. Ileż swoich rówieśniczek Magda zapraszała do ich mieszkania na dziewiątym piętrze i twierdziła, że to dozgonne przyjaciółki, by po krótkim czasie o nich zapomnieć albo nie poznawać nie tylko na ulicy, ale i w filharmonii czy teatrze.

— Wina twojej produkcji wystarczy na przywitanie i pożegnanie. Zresztą wino domowe jest zdrowsze niż te kupne alpagi w fikuśnych butelkach. Posadzisz więcej mięty i melisy, to zamiast liptona czy earl greya możemy pić herbatkę ziołową, posłodzoną miodem z pasieki, którą założysz obok kuźni. W lesie nazbierasz jagód na pierogi. Podgrzybków do bigosu też. W jeziorze nałapiesz płotek. A jeśli nie ty, to Ryży złowi. Ryby słodkowodne są tańsze niż morskie i smaczniejsze. I...

— ...będzie jeszcze przyjemniej niż ma być teraz.

— Skąd wiesz, że teraz nie będzie przyjemnie?

— Tak mi się powiedziało.

— Zanim otworzysz usta, najpierw pomyśl dwa razy, co zamierzasz powiedzieć — karci go Magda. — Znany i ceniony pisarz z ogromnym dorobkiem dziennikarskim, a nie umie zapanować nad językiem. Niekiedy zachowujesz się gorzej niż Ryży.

Marek znowu przecina ręką powietrze, czego obierająca papierówki na jabłecznik Magda nie widzi.

— A jak odniosą się do tej propozycji twoje koleżanki?

— Niby do czego, misiaczku?

— Do rezygnacji z dorocznych zjazdów absolwentek zielonogórskiej polonistyki — wyjaśnia spokojnie, chociaż aż się w nim gotuje. Magda nie umie przegrywać. — Potrafią zrezygnować z przechwalania się tym, co zdobyli ich mężowie i co one mają? Z opowiadania o zaradności dzieci i uroku wnuków? Ze zamiany samochodów na droższe i większe, z wycieczek do ciepłych krajów, z zabaw sylwestrowych w pałacach?

— Właśnie będziesz miał okazję je o to spytać. Być może zechcą odpowiedzieć na twoje pytania.

— Beata, Natalka, Jadźka... były kiedyś twoimi przyjaciółkami. Mogłaś powierzyć im swoje tajemnice i spodziewać się przyjaznej porady. Teraz są tylko koleżankami ze studiów, którym przybyło centymetrów na biodrach, opadły piersi, włosy posiwiwały. W waszych dorocznych zjazdach jest więcej przyzwyczajenia i rytuału niż potrzeby rozmowy.

— Ode mnie żadna nie usłyszy, że pora zakończyć zjazdy. Broń Boże, abys ty im to powiedział. Ja do twojego pisanie się nie wtrącam, chociaż niekiedy powinnam.

Marek udaje, że uwagi żony przyjął obojętnie, ale zapisał w pamięci każde zdanie, które powiedziała. Wystarczy jedno słowo, żeby nawet po kilku tygodniach powtórzył całą scenę drobiazgowo, nie pomijając drgań jej głosu czy gestykulacji rąk. Człowiek z jego talentem do obserwacji ludzi powinien zostać agentem służb specjalnych albo psychoterapeutą w poradni dla wdów.

— Broń cię, Panie Boże, abys to, co się zdarzy podczas zjazdu, wykorzystał w swoich powieściach — przestrzega Magda. W rzeczywistości pragnie zostać bohaterką nowej książki Marka. Jej koleżanki na pewno też nie będą miały nic przeciw temu. Każdy człowiek chce, aby jego czyny zostały zapisane i przekazane potomnym, a im mniej lat

stąpienia po ziemi mu pozostało, tym częściej o tym myśli. Są tacy, którzy zamiast cieszyć się wolnością na emeryturze, piszą swoją biografię, oczywiście pomijając to, co było wstydlive w ich życiu.

— A może byście się wybrały na wspólną wycieczkę za granicę? Na przykład do Tunezji czy Turcji. Albo na Kubę. Drożej, ale i na dłużej. A jeszcze lepiej w lutym do Egiptu na pełne dwa tygodnie wystawiania do słońca tych już trochę obwisłych brzuchów i pomarszczonych czoł.

— Czy mnie również masz na myśli?

— Nie śmiałbym.

— W Tunezji, Turcji, Egipcie, Grecji, Chorwacji każda z nas była. Niektóre nawet po dwa razy. Jeśli powinniśmy wspólnie gdzieś pojechać, to jedynie do Ziemi Świętej.

— Coś w rodzaju peregrynacji w intencji zdrowia na stare lata i błagania Wszechmogącego o przebaczenie za popełnione grzechy?

Na co Magda odpowiada głosem opanowanym:

— Papież ma swego spowiednika, zatem i on, mimo iż jest Summus Pontifex, czyli Najwyższym Kapłanem, grzeszy myślą. A być może również mową i uczynkiem.

— Wypowiadać się, odbębnić pokutę i znowu grzeszyć, jakie to proste. Potem znowu się wypowiadać i znowu...

— Zdaniem Gogola „Człowiek jest słaby, a przeciwnieństwa losu silne”.

— W ten sposób można usprawiedliwić złamanie każdego z dziesięciu przykazań.

— Tyle lat jesteśmy ze sobą, to i dobrze wiesz, że nie mam aż tak ciężkich grzechów, abym musiała je taszczyć do Ziemi Świętej — kończy rozmowę Magda i ucieka wzrokiem do miski z jabłkami.

TO MUSI BYĆ NAJLEPSZA POWIEŚĆ

Marek jest pewny, że już w poniedziałek od rana, gdy Magda będzie prała i sprzątała po zjeździe, on zamknie się w swoim pokoju na poddaszu, podniesie pokrywę laptopa i zacznie pisać taką powieść, o jakiej opowiadał czytelnikom podczas spotkań autorskich. Dziennikarkom podczas audycji telewizyjnych czy radiowych, gdy go pytały, co ma teraz na warsztacie, tłumaczył zawile, że trzyma się nad książką o ludziach, którzy mimo indoktrynacji nie zmarnowali swego życia i chcieliby zdobytym doświadczeniem podzielić się z młodszymi. Gdy dopytywały się, kiedy powieść będzie gotowa, nigdy nie podał konkretnego terminu. Planować jest bardzo łatwo, trudniej z realizacją marzeń, a najtrudniej składać sprawozdanie z tego, co się zrobiło.

Od dawna zastanawiał się, czy już powinien pisać powieść rozliczeniową czy jeszcze poczekać. A jak długo czekać? To może zamiast spowiedzi w fabularnej formie utrwalić wspomnienia, w których każdy grzech przeszłości da się usprawiedliwić? Większość mężczyzn w wieku Marka pragnie takiej spowiedzi wyłącznie dlatego, żeby nikt nie powiedział o ich synach przekazujących rodowe nazwisko, że są dziećmi człowieka małego ducha. Wraz z zamążpójściem córek wszelkie opinie o ich ojcach, nawet te chwalebne, odchodzą w zapomnienie.

Bardzo rzadko od rana, za to prawie codziennie po południu Marek czyta książki, ale nie tak jak polonistki u kosmetyczki czy w poczekalni u dentysty, tylko z długopisem w palcach i notatnikiem pod ręką. Jeśli znajdzie unikatowe zdanie, perełkę w gąszczu refleksji, uczy się go na pamięć jak wiersza w podstawówce, i dla pewności zapisuje, żeby w swoich powieściach nie powtarzać myśli innych autorów. W ten sposób powstał zapiśnik cytatów. Czasem zagląda do niego i wtedy kolejny

raz dochodzi do wniosku, że to, co jemu wydaje się unikatowe, nie jest sztuką, a jedynie umiejętnością formułowania wniosków na podstawie codziennych obserwacji i rozmyślań. Niektórzy uważają to za talent.

Napisać dobrą książkę jest trudniej, niż zbudować dom, a Marek marzył, aby jego książki przypominały osadę, w której każdy czytelnik czuje się tak samo dobrze jak w swoim mieszkaniu. Gdyby pisanie było łatwiejsze od stawiania domów, wszyscy, którzy potrafią utrzymać długopis w palcach lub okazynie kupili laptopy, pisaliby. Krytycy twierdzą, że jedną powieść opartą na własnych przeżyciach każdy potrafi spłodzić. Taka książka będzie ciekawa. Niewielu autorom udaje się obronić kolejną powieść przed napadem recenzentów. Najczęściej bywa tak, że to, co oklaskują czytelnicy, nie podoba się krytykom. Odwrotne zjawisko zdarza się rzadko.

Jest wiele kobiet i mężczyzn, którzy harują od świtu do zmroku bez nadziei na jakikolwiek sukces. Marek też należy do tej grupy, chociaż ciągle wierzy, że napisze taką powieść, o której będzie głośno. I recenzenci obwieszczają, że sukces można odnieść w każdym wieku. Podczas spotkania koleżanek Magdy musi mieć uszy i oczy otwarte szeroko, wtedy zbierze materiał do powieści mającej szansę uznania przez krytykę za dzieło wysokiego lotu. Dziwne, że o tym, co jest dobre w literaturze współczesnej, decyduje kilka osób. Ich gust się liczy, a nie gust tysięcy, a może i milionów czytelników. Prawda, zwyczajni czytelnicy, których przecież jest najwięcej, nie mają czasu na śledzenie nowości wydawniczych, więc podążają za modą, to znaczy biorą do ręki te książki, których istnienie uczciwi recenzenci przemilczają. Nieuczciwi, mamieni gotówką płynącą z kieszeni wydawców, wychwalają je, jakby to były arcydzieła równe *Idiocie* Dostojewskiego albo co najmniej *Człowiekowi bez właściwości* Musila.

W listopadzie pierwszy raz w życiu Marek poszedł do Muzeum Środkowego Nadodrza na wieczór wspomnień o tych zielonogórzanach, którzy w ostatnim roku zakończyli ziemski żywot. Nikt spośród opowiadających o zmarłych nie wspomniał, że byli oni również kierownikami lub dyrektorami, jakby te stanowiska nie miały żadnego znaczenia w życiu człowieka, a przecież zajmowały czas. Aktor tkwił w zapamiętanych rolach, architekt w domach, pisarz w książkach, sportowiec w rekordach i medalach, nauczyciel w sukcesach uczniów. Tamtego wieczoru Marek zrozumiał, że być porządnym urzędnikiem czy zarządcą, to jedynie służba, a ona w życiu człowieka twórczego i ambitnego oznacza stratę czasu. Sukces zaczyna się wtedy, kiedy człowiek, wygrzebawszy z ziemi pamiętki przeszłości, potrafi zainteresować nimi sąsiadów albo nie boi się wydawać opinii sprzecznych z akceptowanymi przez rządzących. Ile artykułów Marek napisał w ciągu czterdziestu lat, nigdy nie policzył, bo nikogo to nie interesuje. Czasem zastanawia się: ile spośród tych tekstów zachowało się w pamięci czytelników?

Bohaterkami jego nowej powieści będą koleżanki Magdy ze studiów. Postanowił, że nawet nie zmieni ich imion. Któż oprócz nich zauważy, że sporządził wnikliwy zapis obserwacji, spostrzeżeń i toczonych rozmów bez zahamowań? Powstanie najszczerza opowieść, niemal reportaż. Najtrudniej jest napisać książkę, którą czytelnicy uznają za uczciwą i będą czerpali z niej jak ze źródła mądrości.

Z ZAPISNIKA

O czym pisać. O tym samym, o czym dotąd. O sobie.